

Zbiór opowiadań w siedmiu aktach

I. Akt pierwszy – Dsn 24/15

Zimno jak skurwensyn. Patrzę w okno – wylotowa pomiędzy Brześciem a Warszawą prawie nieruchoma, na horyzoncie mający jakiś pociąg. Zimno, martwo. Wychodzę na korytarz – pusto. Kseruje tylko ta mała, co niedługo, jak mówią, dostanie zwyrodnienia kręgosłupa, tak wódkę goli. Ciekawy przypadek. Mruga do mnie, śmieje się, wcale nie patrzy, co kładzie. Mechanicznie przesuwając kartki – jedna, dwie, trzy. Raz po raz światło kopiarki razi ją w oczy. (Znowu się opalę! Nie ma to jak pokserować sobie w grudniu). Pamiętam, jak nie było kopiarek tylko hala maszyn, trzy babeczki przepisywały akt oskarżenia, bywało, że i taki na sto stron. Maszyna brała najwyżej osiem egzemplarzy. Szesnastu oskarżonych, podręczne, komenda, i jeszcze jeden dodatkowy, jeśli sprawa szła do sądu wojewódzkiego. Ostatni z ośmiu był już tak nieczytelny, że wysyłało się go najgorszemu chujowi. Żeby nie mógł rozczytać. Stustronicowy akcik trzeba było przepisywać na piechotę przynajmniej trzy razy. Szkoda tych majstersztyków, które powstawały nawet z ochrony środowiska czy pędzenia bimbru. Ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi, to nie przeciwdziałanie narkomanii, mimo że jedno i drugie nie ma zastosowania w przyrodzie. Bo z ustawą czy bez piło się na potęgę. Szkoda – przydałoby się teraz takie małe cacko, aby pokazać tym śledczykom, co to znaczy wydać, postanowić, zażądać, umorzyć. Prawdziwa, dobra robota. Manufaktura, a nie to, co teraz – kopiuj, wklej, pisanie na kopycie. Wszystko takie samo – bezpłatnie. Unisex. Gender. – Kto co woli – jestem na bieżąco. Wydaje się wam, że nie umiem kserować, nie dotykam komputera, sam nie parzę sobie nawet herbaty. Błądzicie. Dziewięć lat siedziałem ze Zbyszkiem nos w nos. Jak ja mam teraz pić sam herbatę? W ogóle sam pić... Szkoda. Tych majstersztyków. Przypadły bezpowrotnie tylko dlatego, że nie było ksero. Nie było ksero, ale było się piło... Piliśmy kiedyś we trzech – ja, Zbyszek i Wiewióra, a na korytarzu, gdzie drewniane, zbutwiałe deski przykryto nie mniej uroczym linoleum, siedział jakiś – sam już nie wiem – pokrzywdzony czy świadek. Tereska Prokopowa go zaczepia i pyta: – Pan do kogo? A on: – Ja do tego pokoju. – To proszę wejść, mówi Tereska, a on: – Nie – tam panowie prokuratorowie wódkę piją, jak skończą, grzecznie wejdę... Wszyscy teraz mają własne gabinety. Ja też mam, ale jak chcę walać kielicha, to wychodzę. Zimno. Może by się tak napić. Herbaty się napiję – koleżanko – herbaty. O, znowu jakiś prokuratorzyna przysłał do nadzoru umorzenie. Po chuja pana – pytam – wyłączając materiały z poważnej sprawy, a potem je morzyć z bcp? I jeszcze wysłać do nadzoru taką klepankę? Wyłączyć, żeby umorzyć. Przecież to się kupy nie trzyma! Nie ma przestępstwa, nie ma umorzenia. Dla mnie to proste. Nie od tego jest prokurator. Ciekawe, do czego będzie po nowelizacji kapeku. Do niczego. Będzie wycierał swoją sutannę po sądach,

bo nawet mocna sprawa już się sama nie obroni. Nie mnie to osądzać, ale gdyby mnie, to kto wie, ile postąpiłbym jeszcze złamasów w pięknej więzance... W czasach, kiedy na imieniny przychodziło się z goździkami i wódką, wchodzi Wiewóra, dzielnicowy, prezes masarni i jeszcze jakiś czwarty – nieznajomy. Nie pytam, mam imieniny. Po piątym okrążeniu pytam prezesa, kto to, a on, że nie wie, pytam dzielnicowego – dzielnicowy nie wie, w końcu pytam delikwenta – ktoś pan? – a on wyciąga powiastkę, wezwanie podejrzanego do zaznajomienia się z materiałami śledztwa... No to się zaznajomiliśmy... Wchodzi ta mała – i jak zawsze leci: akcik, po pijaku, bez zabezpieczenia. Dobrowolne? – się pytam. Dobrowolne, dobrowolne. Tu, tu i tu, i jeszcze tu. Próbuję zajrzeć jej w dekolt, ale gdzie tam, wyklada, że ma więcej w bicepsie niż w biuście. O, znowu ktoś się tam w sekretariacie piłuje. Słyszę, jak dziewczyny tłumaczą: pan jest podejrzany, a nie pokrzywdzony. – To też mówię – na to przejęty głos – że jestem pokrzywdzony, bo oskarżony... Zapracowane. Na koniec miesiąca przez jedne ręce przechodzi ze dwaście aktów oskarżenia, w tym większość po pijaku. Ludzie nadal lubią wypić... Wypijcie zatem za zdrowie statystyki – królowej nauk! A dziewczyny nawet gadać ze mną nie chcą, a przecież robotą nie chuj – poleży; o herbacie już nie wspomnę. Wystarczy tych wspomnień. Kiedyś Urban napisał w „Nie”, że sekretarka w prokuraturze to „taka biurwa, która między kawą i ciasteczkami wydaje zezwolenia na pochowanie zwłok”. Kiedy więc przyjęliśmy pierwszego chłopaka, dziewczyny uknuły, że skoro one biurwy – to on biurfons. Szkoda. Patrzę w okno. Szaro.

gdzieś

między wschodem a zachodem

stoję w oknie

na horyzoncie wagony uciekają w świat

strumień samochodów rozwiewa włosy

pachnące wiatrem wilgocią wolnością

spłoszoną wysoko świadomością chwili

gdzieś

między warszawą a brześciem

w ostateczny kształt dłoni zamknęłam duszę

(Co to teraz mamy – grudzień?) Wtedy też grudzień... Czas temu jakiś ta mała znalazła u ojca w szufladzie (robiła kipisz, gdy go zabrali na odwyk) podpisane przeze mnie postanowienie o przeszukaniu. Wtedy to był żółty świstek nawet nie formatu A–5. Relikwia dla obojga. Z tych samych powodów... Pora się zbierać, dzisiaj przyjeżdża Katarzyna z Tomaszkiem. Mój podpis relikwią... Co robisz, tato? – zapytała kiedyś Kasia, gdy wpadła, po jakieś drobne. O, zobacz, podpisuję i nawet nieźle mi za to płacą. Wpadła częściej. Wyciąga się akta – piętnaście lat. Moje pismo. Dwadzieścia pięć lat. Moje pismo, trzydzieści pięć – ...Tomaszek – ...Hm. Tomek Puchalski, który teraz jest szefem, opowiadał, że w stanie wojennym, kiedy był jeszcze asesorem, wprowadzono 24-godzinne dyżury – dwóch prokuratorów i sekretarka; i oczywiście funkcjonariusze non-stop

– kolor. Najmłodszy, czyli on, biegat i donosił wódkę ze znajomej meliny. Mijał się wtedy ze starym tej matęj. Ta mała, kiedy nas słucha, mówi, że każdy człowiek to jakaś historia. Obojętnie, jak, z kim i gdzie się pije, po jakimś czasie – piętnaście lat, dwadzieścia pięć, trzydzieści – kultuwuje się to, opowiada, mityzuje. Bo zawsze kiedyś było lepiej niż teraz. Kiedyś to się piło – zakrzykuje, po czym jednym, szybkim ruchem wlewa sobie ciecz prosto do gardła. Kołnierz ortopedyczny murowany. (– Masz, dziewczyno, zdrowie – Ale nie mam wątroby). Ona tego nie kultuwuje. Wiolonczela, która z nią siedzi w pokoju, mawia, że Ta mała to taki paradoks – alkohol lubi, a pijaków bardzo nie. Ojciec AA... Ciekawe, czy moja Kaśka też lubi wypić, bo dobrze wiem, że alkoholików i mnie – nie. Ale przyjeżdża. Przywozi Tomaszka. Wpadają po drobne... Teraz każdy ma swój gabinet i w pracy nie pije. Zresztą. Kto wie, czy nie pije, może rzeczywiście, kiedyś będą opowiadali tyleż roześmianym, co zapracowanym sekretarkom, jak to się kiedyś piło. Dokąd to prowadzi? Przypomina mi się, jak kiedyś w grudniu wracałem autobusem z pracy. Mróz był taki, że przez szyby nie było widać nawet latarni. Świeciły wtedy latarnie? Wśród nas, zmarzniętych, jechał nagrzaną pijaczek. Najpierw przeciskał się do przodu, potem do tyłu, za chwilę do okna i znowu do przodu, do tyłu, do prawa, do lewa, w końcu nie wytrzymał, stanął przy mnie i w te słowa: – Przepraszam barrrdzo, czy pan nie wie, gdzie aktualnie jesteśmy? – A po dobrej minucie podziwiania moich butów dodał: – I dokąd zmierzamy?

TW/aa

II. Akt drugi – V Ds 27/15

uwikłatem się

pomiędzy

nieuważne klepnięcie czyjejs biedy w pracy

a poklepanie po głowie kota

cokolwiek nieopatrznie

uwikłatem się

pomiędzy stronę czynną i bierną

zdrady

Bije mi serce, bije werbel, miga kursor, a wszystko w jednym tempie. Wydaje mi się, że już kiedyś tak było, ale nie potrafię tego umiejscowić w czasie, tak jak ciężko jest przypomnieć sobie, kiedy to los miał kaprys swoim zrzędzeniem wsadzić nas do jednego pociągu razem z jakimś *quasi*-znajomym, z którym nie ma o czym mówić. Nie sposób też rozróżnić wszystkich niedzielnych poranków, kiedy siedzieliśmy we troje przy jajecznicy. Niepisane prawo zabraniało przyrządzać i jeść jajecznicę w jakimkolwiek innym momencie tygodnia niż niedziela rano. Ostatnimi czasy miałem okazję kilkakrotnie i za każdym razem nieoczekiwanie spotkać się z kompletnym upadkiem, rozkładem,

ohydą, które dotknęły kilku, zdawałoby się, nienaruszalnych praw i przywilejów – oraz mojej mordy. Prawo do przegrywania popełniło samobójstwo w bezpiecznym roku 2010. Zwyczaj dzielenia się powoli ucieka w swoją ostatnią enklawę, czyli dzielenie się alkoholem. Możliwość uciekania poza różne klasyfikacje przebywa w zakładzie zamkniętym z powodu kryzysu tożsamości. Ale to właśnie nagłe i niewyjaśnione zniknięcie tradycji niedzielnej jajecznicy przeszło najbardziej bez echa i najbardziej mnie dopadło. Żeby bardziej wam uzmysłowić, jak bardzo mnie dopadło – dopadło mnie jak mżawka w marcu na Wolskiej. Pomogłem?

Tak czy srak, drogi wcale nie rozchodzą się powoli, nie ma czasu stwierdzić, że coś się kończy. Ot tak, po prostu, sru, i zostajesz na peronie sam, i nie masz papierosów. Trrrrach, to właśnie butelka wysliznęła się z dłoni i roztrzaskała na chodniku, choć nawet nie miałeś okazji jej otworzyć. Dziesiątki okruchów szkła migotliwie odbijają światło latarni i ta migotliwość ci się udziela, i dostajesz padaczki. Dobra. Ale trzeba iść dalej, do Pietuszek. Pomyśl tylko logicznie. Nawet ten sukinsyn Jerofiejew wiedział, że do Pietuszek trzeba pociągiem, a ty chcesz na piechotę, z padaczką. Taka podróż nie może skończyć się inaczej, więc mimo twoich usilnych próśb i prób inaczej się nie kończy i padasz na samym początku. Padasz, poddajesz się, płaczesz jak gówniarz, bo boli i zimno. Tak zimno jest tylko z powrotem na Kurskim. W każdym (nie bądź, nie bądź, nie bądź i na pewno nie w takim bądź) razie, nie ma tego złego, żeby nie zachwiało się i nie runęło niżej. Tyle tylko, że nie nabierzecie mnie. Znam swoje prawa i nieznamość obowiązków wcale tych praw nie unieważnia. Otóż jeśli trzeba runąć jeszcze (!) niżej, to mam prawo zażądać towarzystwa. Przynajmniej do pewnego momentu. Zataczając się po wspomnieniach mijającego właśnie mdłego roku, wiem, że w Instytucie Sztuki Upadku nie znajdzie się lepszego eksperta niż doktor Czaro. To właśnie on naprostowywał mnie, kiedy czyniłem upadek bezrefleksyjnie, po chamsku i w ogóle nie tak. Trzeba było widzieć pełen politowania uśmiech, kiedy zastawał mnie w łóżku i gestem, za który już dawno powinien otrzymać tytuł profesora, wyCzarowywał na biurku dwa zimne piwa. O, niepojęty. Ale to jeszcze nic. To jeszcze nie apogeum. Kiedy już wychyliłem pierwsze i zachłystywałem się powietrzem wyżyn, na które mnie nagle wyniosło, on ratował przed uleceniem w przestrzeń, rzucając przez plecy paczkę niebieskich, koniecznie niebieskich, lakistrajków – gołębico na moim dachu – i w żywot wieczny, i w amen.

I być może tak by to trwało, po dziś dzień. Nie, bez przesady, bo po dziś dzień nikt by nie dał rady. Jak zwykle. Dlaczego więc, skoro nikt nie dałby rady, ode mnie wymaga się, żebym dał? Jak ktokolwiek ma dać radę, kiedy w Warszawie ulice są tak długie, że kiedy patrzy się na wprost, to dwie szare żyłki, nie wiadomo jak daleko ciągnące się w dal i nie wiadomo jak wysokie, tną pole widzenia? Zakładając oczywiście, że jest się na powierzchni i nie spędza się na przykład nocy gdzieś w przejściu podziemnym, próbując ratować jaźń między szesnastoma budzikami w postaci dwuosobowych patroli. Mój immunitet lubi spać w przejściach. Z każdego miejsca widać tam tak mało, że można sobie wyobrazić ciągnące się w nieskończoność pasażę. Ale bez żadnego chaosu, demiurgowi nie wypada nie wyprzeć chaosu. Więc po kolei: – ślusarz, słodkie bułki,

pamiątki, serwis komórek, ciepłe butki, perfumy. Przez całe perony, neony, eony. W końcu o szóstej rano jestem zwarty i gotowy. Pefen determinacji. Wóz albo przewóz. Jedno albo drugie. Albo trzecie. Albo jutro.

AW/aa

III. Akt trzeci – II K 32/15

Całując nazajutrz usta tuzina facetów i zdarzeń, zwierzam się, nieostrożna. Nie mam siły. Chyba po raz pierwszy w życiu po prostu nie mam siły. Mama mi się rozchorowała, więc jestem ze wszystkim na głowie sama. Dziecko, dom duży, firma i zarabianie pieniędzy. Dwa psy, koń, odwożenie, przywożenie, zawożenie, Specjalnie treningi, angielski, matematyka, szpilki, kurwa, szpilki, uśmiech uśmiech, klient klient, szpital szpital... Nie mam siły. Może to jest po prostu ta historia. Moja historia. I obojętnie, jak to banalnie brzmi, jest to historia nie jednej, ale trzech silnych kobiet. Nie byłoby mnie – takiej mocarnej babeczki, gdyby nie moja matka... i moja córka. Ja to my. Kiedyś, zapytał mnie jakiś absztyfikant, gdy mu opowiadałam, jaką to dzielną, mądrą i piękną mam córkę, czy może być ktoś piękniejszy od ciebie, Aniu?; odpowiedziałam z uroczym uśmiechem: tak, my obie.

Wszyscy ci mężczyźni, którzy przewinęli się przez moje życie, to chyba tylko żal po markowych butach. Butach, które zostawiłam, wychodząc. Zostawiałam, nie oglądając się za siebie, domy, mieszkania, samochody i... i całą energię, której szkoda mi było, aby klócić się o drobiazgi. Właśnie, piękne drobiazgi, na przykład drogie buty, których złośliwi „eks” nie chcą oddać, sama nie wiem, czy z sentymentu, czy z przekory. Niezwykle cenne rodzinne pamiątki, które przecież stanowią część tylko mojej historii, nawet nie mojej historii z którymś z nich, ale wyłącznie mojej. Mojej matki, mojej córki... O taką mądrość, którą mam, modliłyśmy się wszystkie – Teraz, tak czy tak, każda z nas, chociaż nie nieszczęśliwa, zastanawia się, co też ten od siedmiu dni lowelo sobie myśli, że co ja myślę, że nie myślę?! Chociaż mogę sobie pozwolić na picie, wzlot, upadek i na stary truizm – zostaniemy przyjaciółmi, co to ich czynią jasne zasady – najlepiej o nim nie myślę.

Wróćmy jednak do butów. Bo to przecież one plus uroczy uśmiech sprawiały, że – mimo iż wcale nie szukałam ani miłości, ani przygody – ciągle jacyś adoratorzy byli. Miłość – ... to może jedynie ten pierwszy albo ostatni raz, przede wszystkim jednak od zawsze – praca. Praca, która – poza rodziną – świetnie pomaga w poczuciu własnej wartości. Dzięki niej łatwiej mi wyjść, nie oglądając się za siebie. Bo dosłownie i w przenośni – stać mnie na to. I może dlatego, chociaż żadna z nas nie musi, każda doskonale realizuje się w doskonaleniu. Mała – treningi, ja – kancelaria, a moja mama – my niepokorne, my piękne – obie. Moje złote dziecko, jeśli jedzie na zawody, to tylko po złoto. A zatem akta i szpilki, które sprawiają, że na pierwszy rzut oka wydaję się bezkompromisowa. I rzeczywiście – odrobinę jestem. Pracuję w końcu na własny rachunek sumienia i nie muszę liczyć się ze zdaniem innych. Z racjami przełożonych (którzy nawet jeśli nie mają racji, mają rację) czy uczuciami innych, których uczucia to – bądźmy szczerzy

– przeważnie zraniona miłość własna albo niezliczone kompleksy. Moja bezkompromisowość to jednak błąd obliczeniowy o efekcie motyla. Oprócz szpilek często noszę jedwabny szal. Nie jestem, chociaż to teraz bardzo modne, zimną wyrachowaną suką. Nie puściłam swoich eksmężów i eksniemężów w skarpetkach. Nie zapomniałam, że ciągle i przede wszystkim jestem córką i matką. Jedwabny szal, który nie wpływa ani na mój wizerunek, ani tym bardziej na postrzeganie mnie przez innych. Jednak mnie samą utwierdza w przekonaniu, że każdy człowiek, w tym i ja, to oprócz konkretnej reprezentacji zawsze jakaś ukryta historia. A zatem mój konkretny, moja reprezentacja to eleganckie buty. Mój ukryty sens to historia kobiety, której bez względu na to, jak jest wykształcona czy majątna, przyszło się zmagać z życiem. Która tak samo jak cała reszta ludzkości była szczęśliwa i bardzo nieszczęśliwa. Której nie omija ani rozpacz, ani gniew, ani niepokojąca niepewność. Która sama do tej pory nie wie, czy fakt, że doskonale wie, sprawia, że jest dobrym czy złym człowiekiem. Tak, dobrze wie. Wie, że wieczne niezadowolenie innych i krytyka biorą się z braku poczucia własnej wartości; że nie da się zadowolić wszystkich, więc świadomie rezygnuje z uszczęśliwiania tych, którzy na jej uwagę nie zasługują; wie, że nie warto kopać się z koniem i dyskutować z głupszym; i wie, że nie każdy facet to świnia... Chociaż urodziłam się po to, aby chodzić w szpilekach, i od zawsze robię to z klasą, to właśnie teraz – pierwszy raz w życiu – nie mam siły. Nie mam zamiaru udawać, że nie jestem wielkoduszna i wrażliwa. Fakt, mało mam czasu na sentymenty – jednak nie wiercie, bo sama w to nie wierzę, że żaden z moich związków nie zostawił śladów albo sprowadzał się tylko do śladów po butach. Nie dajcie się zwieść pozorom. Mimo że mają postać konkretnego – mokrego piasku – giną, nie w jakiejś abstrakcyjnej nic nieznaczącej prawdzie czy gównoprawdzie, lecz w tym, co istotne. Wystarczy trochę stoney wody, aby zmyć pozory. Nie mam czasu, ale mam w sobie niezmiernie przestrzenie morskiej bryzy – pokory i poezji. Bo jak każda kobieta lubię rzeczy piękne – buty, konie, rodzinę. Niby drobiazgi – pióro, zabytkowa lampa, rodzina. Ale ważne. A zatem kochani –

*Zarzekam się Na smak piasku pod palcami,
I Na otwartą dłoń, Na nieżywą królową pszczół
Na parapecie, Na seks bez miłości, Że nie potrafię
Być, Na, Na, Na*

ACh/aa

IV. Akt czwarty – I RA 62/15

Czy niszczyłeś kiedykolwiek akta? Tak... nie, to niczego nie zmienia, pytania też nie było. Bo w aktach nic, nigdy, niczego nie ma. Nawet jeśli, to obskurny kotociot z wirującą papierową masą unieważnia wszystko. Jakby było w ogóle czego pilnować... Ale pilnuję – śmiechu warte – akta. Wrzucasz do kotła, jak leci – papiery, peta i szczytki sizalu po paczkach i patrzysz, jak wiruje – ... kosmos, wszechświat, czarna dziura. Ile to rzeczy pochłania czas. Niemieckie książki w czerwonych okładkach (1937), zielone zeszyty w trzy linie z papieru, który jest już po trzeciej reinkarnacji (1981), i żółte,

niemożliwie zakurzone akta (1990–2009). Nie, nie jesteś ciekawy, co tam w nich siedzi – kiej diabeł. Tyle lat już stoisz tu za najniższą krajową, że mało – to mało powiedziane – cię to interesuje. Zresztą dobrze wiesz co – życie. Wszędzie jest tak samo. Ludzie żyją, za łby się biorą, kochają, kradną, no i piją – ... Wszystko to, co dla nich ważne i warte tego, żeby się nawet pozabijać, jest tylko zapisaną kartką papieru i nie znaczy nic. Albo inaczej, znaczy tyle, ile waży. Myślisz albo nie myślisz... Nie wiesz, że to atawizm, patrzeć w wirującą przestrzeń. Stoisz zadumany, ale nie myślisz. Albo myślisz. O tej półce na książki, co ją sam zrobiłeś, żeby nie niszczały w brudnej, wilgotnej hali na oknie. Małe i wysoko to okno – nie wiesz i nikt nie wie, „one tu po co”, skoro się nie otwiera, skoro dziura jest prawie na połowę dachu. Widzisz przez nią flagę Unii Europejskiej albo prawdziwe – jak u Myśliwskiego – gwiazdy... Ale się nie zastanawiasz. Mówisz: Niech tu nie stoi, nie trzeba, pani za ładnie ubrana, tu brudno i pryska, i trzeba uważać na oczy... Ona też się nie zastanawia – powiedziała, że dla niej sprawa to już tylko numer, dla ciebie nawet nie numer, nawet nie przestępstwo, tylko kolejna paczka.

*te będą prawdziwe jak chleb z masłem
przez moment
twarz w szczerzej od brudu szybie
z której do ostatniej nie spłynęły krople deszczu
reszta ma na zawsze w aktach podwójną numerację
przez odcień
szarości złamane księżycą nów szczekanie psa*

Chwytasz kątem oka opisy – znęcanie się nad zwierzętami, znęcanie się nad ojcem; kradzież gołębi, kradzież paliwa; włamanie do komórki i włamanie na konto; doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem, doprowadzenie do targnięcia się na własne życie... Nie rozumiesz. Albo rozumiesz zbyt wiele. Ona się przygląda, jakby próbowała zgadnąć. Przychodzi tu piechotą taki dziadek z pobliskiej wsi, raz w tygodniu przynosi, schludnie ubrany – bo przecie między ludzi idzie – to, co nazbierał. Równe kupki, które niesie, „te siedem kilometrów”, aby dostać rolkę papieru. Od kiedy przepisał gospodarstwo na syna, mieszka w przybudówce, a pieca nie używa – przynosi, bo papier się marnuje, bo papier zawsze się przyda. Teraz rozumiecie oboje.

Książek zrobiło się szkoda wszystkim. Chociaż zniszczone, to kiedy trzymało się je w rękę, dawały dziwne poczucie istotności. Grube, ciemne okładki z wygrawerowanym nazwiskiem autora – tak zmyślnie wykaligrafowanym, że trudno ci było je nawet odczytać. Podawaliście je sobie z rąk do rąk, każdy oglądał, lecz nikt nie chciał mieć na sumieniu wyrzucenia czegoś, co miało wyczuwalne i namysł, i pieczołowitość, elegancję i historię. Jak można takie książki wrzucić w szarą nicłość. Ona zaczyna się śmiać, mówi, że kiedy patrzy na wirującą breję, to myśli podobnie, bo kiedy samolot znajduje się powyżej poziomu chmur, człowiek rzuca się ze spadochronem właśnie w taką szarą nicłość. Książka, która znika w chmurach. Tak czy inaczej, poniszczone tomy wylądowały na obramowaniu okna i stoją, i trwają dalej. Czas unicestwiony.

Następny samochód, który przyjeżdża, jest cywilny. Prywatne auto w tej podłej budzie nazywanej szumnie Fabryką Papieru lub lepiej – Paper Technologies Poland Sp. z o.o. to raczej rzadkość, zdarza się jednak – i tak przyjeżdża wysoki lexus, wysiada z niego czterech facetów i uwija się przy rozładunku – szybko, sprawnie, skutecznie. Za chwilę ich nie ma, nie zabierają nawet należnego papieru. Znowu patrzycie, znowu myślicie, znowu rozumiecie oboje – kiedy mówisz, że ktoś ci mówił, że z właścicielami rozliczają się inaczej. Palicie razem, a niedopałki wrzucacie do wirującej mazi. Już wiesz, że dzisiaj zabierzesz niszczące książki do domu, zajrzysz, a tam bordowe tomy Aleksandra Dumasa *Hrabina Charny* – nakładem Biblioteki Rodzinnej, Warszawa 1928. *Trzej muszkietierowie*, *Wicehrabia de Brogelonne*, *Józef Balsamo* – niekompletne serie należące do księgozbioru Heleny Szejnert (pieczętkę w każdym tomie uzupełniono o ręczny późniejszy dopisek „owej”). Opowiadania historyczne – Mariji Świdorskiej *Ostatni Piast na Śląsk* – należące, jak głosi pieczęć, do Biblioteki Publicznej Szkoły Powszechnej imienia Prezydenta Narutowicza w Siedlcach (numer 535, dział 64; na kolejnej stronie kolejna pieczęć – księgozbiór własny B. Myszka, Siedlce, Sienkiewicza 56 bl. 11 m. 28), *Wybór pism* Zygmunta Krasińskiego – nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1898 (podpis T. Niedziółka). *Literatura Polska* Aleksandra Brücknera, nakładem księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego, Warszawa 1931 (z dedykacją – *Mojej bardzo drogiej Wandeczce na pamiątkę od oddanej przyjaciółki Ludwika Piotrowskiej 29 X 1937 r.*). Wszystkie postawisz na zbitą już dawno półkę.

NN/aa

V. Akt piąty – Ko 31/15

Teraz Urszuli było już wszystko jedno. Ważne, że ktoś jest. Jest. Spokojny i tak zasadniczy, że to więcej niż pewne, że ten facet jej nie odstąpi, nie zostawi i obojętnie, jak bardzo byliby dla siebie cierpcy czy ironiczni, to zawsze będą rodziną, w której on wierny jak pies, a ona lekko kpiąca, lekko zdystansowana, śliczna, idą do kościoła, porządni i porządnie ubrani, a dzień jest, tak jak przystało na niedzielnie popołudnie, oczywiście piękny – światłem, zielenią, ciszą.

Porządni, a ona zdystansowana i śliczna, niemalże jeszcze wczoraj – wczoraj, które zdawało się być dziś – siedziała w wannie, wpatrując się w inną twarz. Zamykali się, mimo że na zewnątrz był jasny dzień, w ciemnej łazience i w migotliwym blasku patrzyli sobie z Łukaszem w oczy. Czas płynął i kołysał ich niczym iskrząca piana – pomiędzy palcami, pomiędzy ciałami. Nie odzywali się do siebie, tylko patrzyli, tylko się uśmiechali. Niewypowiedziane słowa przesuwają się jak czas, jak piana, jak myśli, które chociaż własne, nie zakłócały tego ciężkiego od ciszy porządku patrzenia. I chociaż – i przecież – patrzyła, zdystansowana, przestrzeń ta była naszczona bliskością i bliskością. Widziała drobny cień rzęs, wytatuowany na kolanie żużel. Zastanawiała się nad niezastanawiającymi plamkami na skórze i nad własnymi plamami na duszy. Dystans, nazywany intymnym, kiedy to na twarzy widzi się nawet najmniejsze przebarwienia. Najmniejsze przebarwienia, które są znakiem. Znakiem? Aleś ty śliczna – powiedział

– a piana zakotłowała się połyskliwie. I więcej nic. Urszula, zupełnie tak jak ta chwila, była spokojna i niespokojna.

Mieszkali przez całą półroczną delegację Łukasza razem, wychodzili do pracy i tylko tyle – nie sprząkali, nie gotowali, całe weekendy nie wychodzili z łóżka. Jedzenie zamawiali z dostawą do domu, odbierali je, rozebrani, płacąc przez wpół otwarte drzwi. Przesiadawali w wannie, której nie sprofanowały nigdy słowa... Nie dziwiła się więc specjalnie, kiedy została w niej sama, siedząc, skulona, w stonej już wodzie...

*Skuliłam się na brzegu wanny, ręce w nogi zanurzyłam, w nogi
Zimne krople spływały z włosów do gorącej wody...*

*Było ciemno i cicho, i pusto jak w kościele
to był inny kościół i głupio mi było
ogłądać złotoodpustowe zawitości wiary
zastępy aniołów patrzyły mi na ręce,
a ludzie na nogi...*

*Zaparowało w zamkniętej po brzegi łazience
Złożyłam między nogi ręce*

Teraz Urszuli było już wszystko jedno. Słoneczna niedziela, a obok Arek. Który wiedział tyle, ile wiedzieli wszyscy. Nie pytał. I żeby nie pytać, oboje skrupulatnie planowali, zapewniali, organizowali. Jedynie w kościele, kiedy to w ukradzionym czasowi mroku Urszula uciekała do ciemnej łazienki. Znowu siedziała przed Łukaszem, on znowu pięścił ją wzrokiem i nic nie mówili wzrokiem znowu. Drżeli, zanurzając się w gorących od kąpieli spojrzaniach. Płynęły uśmiechy, plątały się stopy. Spokojnie i niespokojnie... Teraz marszcząc brwi, patrzy na dłonie – dziwi, że nie są pomarszczone jak ręce praczeki. Patrzy na Arka i myśli, że im bardziej irytuje ją ta jego pretensjonalność, tym lepiej, że jest. Im bardziej się przy niej – Urszuli – i przy tej swojej pretensjonalności upiera, tym bardziej go kocha. Bo tym bardziej jest. Dobry nawyk, czytać akta.

UG/aa

VI. Akt szósty – RSD 40/15

Było nas w takim razie pięcioro, a mi się trzęsły ręce. Zresztą bez fałszywej skromności – trząsnę się cały, nad morzem było zimno, w szpitalu było duszno, w kościele było cicho, na koncercie było głośno, a później byłem pijany. Ale to przynajmniej byłem ja, a nie my, my pojawiliśmy się gdzieś w grudniu. Śródmieście gdzieś w nocy. Bardzo się ucieszyłem, kiedy na Patelni ktoś równie roztrzęsiony, paląc mojego ostatniego papierosa, prawił o kobietach. Mogłem wtedy dokonać eksterioryzacji chichoczącego *alter ego*, ale nie na długo, sami wiecie, jak krótko pali się ostatni papieros.

Momentami w tych wszystkich różnych szybkich miejscach trzeba mi było porozmawiać z moim kulawym zakatarzonym diabłem w środku, a on zawsze wodził mnie na pokuszenie. Stawaliśmy razem na dachu pociągu, na balkonowej przepalanej

tu i ówdzie poręczy, na Powązkach, w metrze, a on brał mnie za rękę (co ciekawe, zawsze za prawą) i mówił mi „skacz ścierwo, bo poodgryzam ręce!”. Przyznam się, czemu nie, dreszcze mnie przechodziły, kaprawe lico odrzucało podobieństwem do mojego, a ręce i cała reszta dalej mi się trzęsły. Myślałem, że zdechnie, wyflukany wodami Bałtyku, wywiany wiatrem wpadającym przez otwarte okno wagonu, ogluszony ciszą albo muzyką. Nie wiem, dlaczego tak myślałem, skoro z wariackim uporem wołałem, żeby wrócił, raz po raz otwierając plecak, szukając w portfelu drobnych, schodząc do sklepu przy Mokotowskiej, błądząc dłonią po kieszeniach na cmentarzu. Wołałem, a on wracał i trwał, chichocząc moimi ustami, między jednym chichotem a drugim konsekwentnie kusząc. Udawało mi się w każdej chwili wydukać, strzelając oczami na boki, że może sobie odgryzać, kto by chciał odgryzać takie ręce, takie trzęsące się nie ze strachu ręce. I gryzł, bambaryta, ale wypluwał, bo nie mógł znieść braku strachu, choć pewnie bardziej mierziło go podłe piwo w żyłach. Diabły lubią stouta. Łaziliśmy, póki mieliśmy gdzie, a że Warszawa jest duża, to godzina nie wybijała przez parę dni, aż wybiła. Wtedy zapragnąłem pomocy i uciekłem do największego (1,99 cm) autorytetu w sprawie diabłów – ojca. Ojciec mnie nakarmił, stał się z powrotem tatą. Zamieniliśmy się kurtkami, bo tak, a ja patrząc na swoje odbicie w szybie metra, stwierdziłem, że diabeł został w tamtej kurtce i przejrawszy mój podstęp, goni mnie następnym składem. Pan mnie nie opuścił, bo kiedy ja tygodniami opracowywałem optymalną trasę na komisariat i z powrotem, diabeł spał snem sprawiedliwego. Tylko dlatego pierwszy dopadłem wrzecion Wrzeciona i zatrzasnąłem za sobą drzwi na jedyny spust, jaki mi został po spustoszeniach dokonanych w czasie długich nocy. Wciąż jeszcze miotałem się w poszukiwaniu zapalniczki, kiedy zadrapał nieobcinanymi pazurami w judasza i syczał słowa tak bezbożne, że pusty śmiech mnie brał. Śmiech – nie chichot. Łapczywie wepchnąłem lód do ust i przetknąłem, jak leci, dwieście gramów. Bez skrzywienia. Diabeł zaś zaskowyczał i wycofał się przed domofon. Reszta była kwestią niesamowitej jasności umysłu. Porwałem saperkę i wyskoczyłem przez okno, słysząc, jak walą się ściany, przewracają butelki, jak łomocze kurz na regale. Szczęśliwym trafem przy upadku nie potamałem zapatek Niesamowitego Cezarego, tylko ręce. Krzywiąc się z bólu, podpaliłem papierosa i z zawadiacką miną ruszyłem przez Bielany. Na grzbiecie miałem czarną skórę, pamiętającą czasy siedleckiej dochodzeniówki, słodkie gonitwy i strzelaniny. W kwestii formalnej – dlaczego na cmentarzu włoskim byłem znowu pierwszy? W roku 1932 Nataszewicz w swojej publikacji *Anatomia Diabłów* dowiódł niezbicie, że ludzkie nogi są wytrzymalsze od kopyt. Diabeł zwichnął kopyto, ja nóg w oficerkach – nie. Znalazłem przytulną kwaterę pod murem i wykopałem cieszący oko dół, uwzględniając gabaryty jednego i drugiego, bo umysł miałem jasny. A on dokuśtykał do mnie i uczył się rękawa, ale władzy nad nim nie miał, bo to był rękaw skóry, a nie namioto-kurtki. A ja mu powiedziałem: – Pij ze mną albo skacz. Przepijesz, sam skoczę. Pił i byłby przypadł, ale to był cmentarz włoski, a w cyrografie jak wół stoi – „póki nie napijesz się z Adasiem w Rzymie”. Triumfalnie zawyłem: „Ten dół się Rzym nazywa!”, po czym wepchnąłem skurczybyka, przysypałem, otarłem pot, dopiłem, przyklepałem i wcisnąłem peta w mokrą ziemię,

albowiem napisano: „A Diabłu ogarek!”. I tam leży bies pogrzebany. Z pięciorga zostało nas dwóch, z nas dwóch zostałem sam. „Więc jeśli chcesz hodować diabła, w głębokim dole trzymaj go”.

AA/aa

VII. Akt siódmy – PR w/m

(KCz powiedział TT, że PK to mądra dziewczyna – i daleko zajdzie. Nie tak jak ta – aa, która – jak mawia ES – puszcza się. He, he).

Stoję w oknie – parapet nie sięga mi nawet do pasa. Pamiętam doskonale, gdy pierwszego dnia siłą powstrzymywałam się, aby nie wyskoczyć. Skończyło się trzydzieści jeden dni świątecznych, z których to już nie wierzyłam w żaden. Osiem godzin. Wieje i chociaż to tylko parszywe trzecie piętro – horyzont sięga po horyzont. W siebie też nie wierzę. Ta to ja? (*Nie wiem, nie wiem – oddycham, powietrze pachnie, smakuje powietrze*). Nie znoszę uśmiechających się, gdy odchodzę, ludzi. (*Łagodne światło i ostre powietrze, wyraźnie – nie wiem, nie wiem*). Sprzedałam się. Bez trudu wychylałam się, żeby sprawdzić, czy któryś już zaparkował od szczytu, chociaż w najmniejszym stopniu mnie to nie obchodzi. Nie. Ale zawsze mogę przerzucić nogi przez szeroką okienną ramę (*a jeśli pytasz o nasturcje, powoje i powody – nic się nie zmieniło – ani nagietki, ani aksamitki – nie pytaj, co u mnie, bo się wstydzę – nawet, gdy cyniczne palę papierosy – że wyrosłam, zmądrzałam i taka jestem –...*).

Zarówno mi jedno. Silny podmuch omiata mi twarz, zamykam oczy – wiatr czy może przejeżdżający gdzieś na dole tir. Wiatr, samochody, pociąg w oddali dają silne poczucie złudnej wolności. Poczucie złudne, wolność złudna. (*Oto ja, 91 centymetrów w biodrach, bilet do kina, blask*). Jak to się stało, że sprzedałam duszę temu, w co nie wierzę. W autobusie przechodzę kwarantannę, aby do siebie wrócić. Już –

... – Rozumiem,
że to gra
w zapachy i słowa,
nigdy przypadkowe
dotknięcia.

Już wiem,
lecz moja
zmysłowa obojętność
pryska z trzepotem
prześcieradeł.

Uczę się
uśmiechów,
złotnie malować

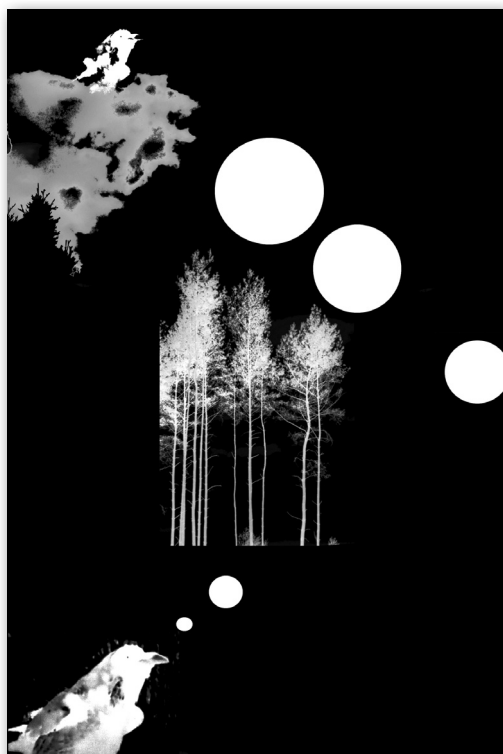
paznokcie
i myśleć – śmieszne.

...Piękna Remedios robi pranie.

Wyobraźcie sobie, panowie, mnie piękną, tę, której nigdy, wbrew temu, co sądzą inni, nigdy, nigdy nie widzieliście – rozebraną – gdy robię pranie. Czemu nie? Robiłam wiele dziwnych rzeczy. Wirowałam, wrzucając akta do pieca, aż iskry szły z włosów. Skałałam w wirującą, szarą nicość. Jechałam w bagażniku autobusu, wiązałam ci buty. Mogę, do cholery, zrobić i pranie. Bo przecież, jesteśmy na takiej stopie, że przy drzwiach przesuwam ciężar ciała na jedną nogę i kołysząc się; że spokojnie (a niech mnie) może to zrobić; słucham (pięta, palce, pięta, palce), że na pewno powie mi, gdy będzie chciał; śmieję się (jak zwykle, gdy nie wiem, co powiedzieć) abym wyszła; wychodzę...

...wiem, co jest dobre, wycieram zabłoconą podłogę, a słońce gaśnie.

aa/aa



Izabela Poniatowska, *Fotografia z cyklu Matka kultura*